



Katarzyna Wydra, Marcin Żyła

Hotel Prisztina

Na ziemiach, gdzie kiedyś rozciągała się Jugosławia, od sześćdziesięciu lat stoją na miejskich skwerkach te same kosze na śmieci. Neony dawno zgasły, gałęzie drzew, jak rozczochrane włosy, nie dają się łatwo ułożyć, a gatunki krzewów i kwiatów ciągle pozostają niemodne. Wśród trucheł betonowych bloków przemykają zgrabne dziewczyny, wystrojone według trendów panujących na bazarach państw, które jeszcze nie są tygrysami Europy. Wszystko zdaje się rzeźić ostatkiem sił – jak stare yugo przed zmianą na nowszy model.

Jeszcze niedawno, kiedy serbski pogranicznik znajdował w paszporcie błękitną pieczętkę ONZ, zatrzymywał go i wołał swojego szefa. Zwłaszcza jeśli w kraju akurat odbywały się wybory, albo do Belgradu przyjeżdżali dyplomaci państw Grupy Kontaktowej i w ogóle świat, po kilku miesiącach letargu, na nowo przypominał sobie o Kosowie i postanawiał, że coś z nim wreszcie zrobi. Wtedy, jeszcze zanim Moskwa zdążyła zaprotestować, Pekin wstrzymać się od głosu, a Genewa – wydać któryś z rządu komunikat o odłożeniu negocjacji na następne pół roku, swoją maleńką rolę w spektaklu o Kosowie odgrywał on, funkcjonariusz państwowy z zagubione-



go w polach słoneczników terminalu drogowego we wsi Horgoš, na granicy z Węgry.

Symbol kuli ziemskiej z napisem „UNMIK” odbity w paszporcie potwierdzał, że wracało się z Kosowa. I że wjazd do prowincji nastąpił od strony państw trzecich. To nic, że przepisowo, a zezwolenie wbił upoważniony urzędnik ONZ. W czasie politycznej niepogody ta zwykła pieczętka była czułym barometrem nastrojów w Belgradzie. Jeśli były liberalne, paszport wracał do właściciela i dalsza droga do Budapesztu stawała otworem. Ale kiedy atmosfera wokół Kosowa robiła się gęsta, nerwowi stawali się i pogranicznicy. Kosowem, formalnie częścią Serbii, od 1999 roku opiekował się cały świat. Cywilną administrację utworzyło tu ONZ (UNMIK – United Nations Mission In Kosovo), a wojskową – NATO (oddziały KFOR – Kosovo Force). No i przede wszystkim ciągle obowiązywała rezolucja nr 1244 Rady Bezpieczeństwa, taka kosowska „mała konstytucja”, która zakazywała armii i policji serbskiej przebywania na terytorium prowincji.

To dlatego Belgrad nie pilnował granicy Kosowa na odcinku, gdzie była ona *de iure* również zewnętrzną granicą całej Serbii – a paszporty sprawdzało ONZ. I dlatego też funkcjonariusz, któremu błękit nieszczęsnej pieczętki przyciemniały nieco okulary przeciwsłoneczne (w Horgoš wielu je nosi, z nieba oślepia tu słońce, a z ziemi – słoneczniki), zawsze mógł oznajmić, że oto trzyma w ręku dowód poważnego przestępstwa: nielegalnego, bo bez upoważnienia od władz w Belgradzie, przekroczenia granicy państwa.

Dwieście tysięcy zarejestrowanych w Kosowie samochodów nie może wyruszyć z prowincji w szeroki świat.

W końcu, po skargach turystów z Zachodu, zareagowało ONZ. Od pewnego czasu wjeżdżającym do Kosowa nie wbija się już pieczętka do paszportu, ale na specjalną kartkę, którą w razie potrzeby można szybko wrzucić do kosza.

Tak oto wielka polityka przestała czepiać się gości z zagranicy, choć ciągle dokuczają tym, przed którymi szlabany przejścia w Horgoš są zamknięte na stałe: na przykład wielu Albańczykom z Kosowa. Oni nie chcą się starać o serbski paszport w Belgradzie. Wolą już ten śmieszny „dokument podróży UNMIK” – w drodze prawie bez-



wartościowy, ale przynajmniej własny, kosowski. Lubią też tablice rejestracyjne na swoich autach, z literami KS. Nie uznaje ich nawet Belgrad i dlatego dwieście tysięcy zarejestrowanych w Kosowie samochodów nie może wyruszyć z prowincji w szeroki świat.

Mieszkańcy Kosowa mają własną granicę. Jest nią Mitrowica, jedyne duże miasto w Kosowie, w którym Serbowie (oficjalnie pięć procent obywateli prowincji) żyją w zwartych osiedlach. Kiedy w nurcie Ibaru utopił się w 2004 roku albański chłopiec, wybuchły tu krwawe walki albańsko-serbskie. Zginęło dwadzieścia siedem osób. Równy rok temu zadźgano nożem serbskiego nastolatka. Choć nikt nie dowiedział, że winni byli Albańczycy, Serbowie z północnych dzielnic Mitrowicy zebrali się na brzegu rzeki, gotowi do rewanzu. ONZ ogłosiło alarm i zamknęło jedyny ogólnodostępny most łączący dwie części miasta. Zwoje drutu kolczastego, który rozstawiali Francuzi z KFOR-u, luźno opierają się teraz o balustradę, ponownie gotowe do użycia. Wszystkiemu przygląda się świat: jeżeli w przyszłości powtórzą się w Kosowie zamieszki, bardzo możliwe, że zaczną się na którejś z ulic obok mostu.

Mitrowica jest najsłynniejszym podzielonym miastem w Europie początku XXI wieku. Do Nikozji na Cyprze jakoś się już przyzwyczailiśmy.

Zaszło słońce, chmury przykryły niebo, lunął deszcz. Przy drucie kolczastym przemoczony kundel, na łukach mostu – fioletowe świetlówki (dlaczego akurat fioletowe?). I dym w kolorze asfaltu nad blokowiskami Cyganów: to tradycja, że dziś na całych Bałkanach dzieci palą stopy opon. Ognisk z mostu nie widać, sam tylko dym. Wyobraźnia dopowiada resztę.

Opóźniona niepodległość

Ten rok miał przynieść definitywne rozwiązanie kwestii kosowskiej. W lutym specjalny wysłannik ONZ były prezydent Finlandii Martti Ahtisaari przedstawił Serbom i Albańczykom plan, który wprawdzie nie zawierał słowa „niepodległość”, ale przyznawał władzom w Prisztinie wszystkie atrybuty niezależnego państwa. Wielu



ludzi na Bałkanach odetchnęło z ulgą – tak powszechne jest tu przekonanie, że dopóki w Kosowie nie zapanuje spokój, żadna z narodowości zamieszkujących była Jugosławię – może poza Słoweńcami i Chorwatami – nie będzie mogła spać spokojnie, bez obawy, że wkrótce rozgorzeje nowy konflikt. W końcu to w Kosowie wszystko się zaczęło, tam dwadzieścia lat temu narodził się współczesny serbski nacjonalizm w postaci, którą znienawidził Zachód i która do dziś waży na międzynarodowym wizerunku Serbii.

24 kwietnia 1987 roku do Kosowa przybył Slobodan Milošević, wówczas czterdziestosześcioletni dygnitarz serbskiej partii komunistycznej. Było sześć lat po śmierci Josipa Tity – kosowscy Serbowie mogli już otwarcie krytykować jego politykę sprowadzania do prowincji Albańczyków, którzy – utrzymując wielodzietne rodziny – w ciągu kilku dekad osiągnęli miażdżącą przewagę liczebną nad Serbami. (Tito, pilnując, by żadna z narodowości w Jugosławii nie dominowała nad innymi, celowo osłabił Serbię, przyznając Kosowu i położonej przy granicy z Węgrami Wojwodinie autonomię, która umożliwiła pochodzącym stamtąd delegatom niezależne od Belgradu głosowanie w strukturach federalnych Jugosławii). W czasie gdy Milošević wysłuchiwał skarg swoich rodaków, na zewnątrz budynku, w którym trwało spotkanie, serbscy nacjonałiści walczyli z albańską policją. Wieczorem w głównym dzienniku telewizyjnym cały kraj zobaczył, jak Milošević obiecuje wzburzonym Serbom: „Nikt już nie ośmieli się was bić!”. To krótkie zdanie zmieniło jego życie. Tego dnia narodziła się legenda Slobodana – obrońcy Serbów. Rok później był już prezydentem kraju.

Kosowo i Wojwodinę pozbawiono autonomii. Rozpoczęły się dziesięcioletnie prześladowania Albańczyków, które nie ustały nawet w czasie wojen w Chorwacji i Bośni. Zaniepokojony ich rozmia-rem Zachód, po doniesieniach o polityce czystek etnicznych prowadzonych przez podległe Belgradowi oddziały wojskowe, kilkakrotnie ostrzegwał Miloševicia. Ale dopiero w marcu 1999 roku miarka się przebrała. W bezprecedensowej, realizowanej poza systemem Narodów Zjednoczonych, operacji *Allied Force* siły lotnicze NATO bombardowały przez trzy miesiące cele w Serbii i Czarnogórze, niszcząc infrastrukturę kraju i zmuszając serbskiego dyktatora do zaniechania walk z Albańczykami.



Rychły upadek Miloševića i przejście kontroli nad Kosowem przez społeczność międzynarodową tylko częściowo uspokoiły sytuację w prowincji. Co jakiś czas ktoś strzelał do Albańczyka, uchodźcy nie mogli lub nie chcieli wrócić do spalonych domów, gdzieś znowu wylatywała w powietrze serbska cerkiew... Nadzieją dla Kosowa miał być plan Ahtisaariego – odrzucony jednak w całości przez Serbię i popierającą ją Rosję. Wkrótce ONZ, tak jak w Bośni, przekaze Unii Europejskiej kontrolę nad prowincją. Albańczycy w Kosowie już wyznaczają konkretne daty ogłoszenia niepodległości. A świat ma nowy pomysł na Kosowo: koordynowaniem negocjacji ma się zająć *trojka* – trzech doświadczonych negocjatorów z Rosji, Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Na wypracowanie własnego pomysłu i przekonanie do niego Serbów i Albańczyków mają sto dwadzieścia dni. Zaczynają we wrześniu. Już pojawiły się sygnały, że jednym z możliwych rozwiązań może być podział kraju – most w Mitrowicy prawie na pewno zamieni się wtedy w prawdziwe przejście graniczne.

Korozja przestrzeni

Dziś w Prisztinie nie pija się kawy po turecku, tylko *macchiato*. Ale i tak podaje się do niego szklankę wody. Pytania bałkańskie pozostają więc aktualne: czy wodą trzeba rozcieńczyć kawę? Jedyne przepijać? A może na końcu oplukać zęby? Dochodzi też kwestia kolejna: dlaczego z filigranowych filiżanek czarny napój sączą sami mężczyźni? Przecież u nas kawa jest zawsze z przyjaciółką. Może kobietom trudniej usiąść pod kawiarnianym parasolem i udawać, że wokół nie jest brzydko?

O wojnie na Bałkanach powstało kilka przebojów. Ludzie dosłownie zaśpiewywali się *Kałasznikowem* Gorana Bregovicia i wzruszali przy *Miss Sarajevo* U2. Dziesięć lat temu na płycie *Album of the Year* zespołu Faith No More znalazła się piosenka zatytułowana *Priština*. Wcale nieromantyczna historia kochanków rozdzielonych przez wojnę:



To twój ostatni oddech,
Te ściany ich nie powstrzymają,
A ciebie zatrzymają wewnątrz,
Ale kto będzie cię chronił? Kto?

Jakiej muzyki słucha Arlind? Wygląda na osobę, której rodzime dźwięki działają na nerwy. Wyraźnie „ma styl” i zamiast widoków za oknem woli oglądać zagraniczną telewizję. Nosi okulary w grubej oprawce i pali papierosy. W wynajmowanym mieszkaniu nie ma zbyt wielu osobistych rzeczy. Zresztą co może kupić w Kosowie taki inteligent jak on? Co może robić w wolnym czasie?

W Prisztinie – jak zresztą na całym Półwyspie Bałkańskim – już na pierwszy rzut oka widać, że zachodzą procesy. Na przykład erozji kamiennych schodów i betonowych płyt. A także korozji rynn, poręczy i żelaznych słupów. Wypiętrzania hałd śmieci i transpozycji krawężników. Odpadania gwiazdek z neonów z nazwami hoteli – i tynku z ich ścian. A gdzieś na boku – prawie niewidocznie – zachodzą procesy stabilizacyjne, normalizujące, demokratyczne, usuwania śladów konfliktu i rozwiązywania problemu przyszłego statusu. Geopolityka na wszystkim odcisnęła swoje piętno. Na asfalcie, na którym niczym południki układają się wyrwy i pęknięcia. Na roślinach, które zostawiono samym sobie. Na talerzach anten satelitarnych, które masowo oblepiają budynki i ujawniają ponurą geometrię przestrzeni: obłe kształty talerzy kontrastują z kwadraturą okien i balkonów, z poziomą linią dachów oraz pionami prętów w wysokich ogrodzeniach. To wszystko, jak gdyby nigdy nic, pokrywa spirala kolczastego drutu.

Arlind nie jest zacięty ani sfrustrowany. Cechuje go nawet pewna nonszalancja. Na nic nie narzeka, a na otoczenie patrzy jak na coś oczywistego. Studiuje i pracuje, prowadzi drużynę skautów, a oprócz tego gości u siebie cudzoziemców z Hospitality Club. W mieszkaniu nie ma czajnika, bo urządził się tylko na chwilę. Na razie żyje tu jak w hotelu. Bezosobowo, byle przeczekać. Arlind czeka na wolne Kosowo.



Skóra, fura i mąż

Przemieszczając się po Kosowie i Metohiji (tak brzmi oficjalna nazwa prowincji), podróżny szybko się orientuje, że pod tutejszym słońcem trzeba umieć się poruszać – w każdym możliwym znaczeniu. I rzecz nie w tym, że czasem na autobus czeka się długo, życiem nie ma się jak wydostać, trzeba łapać okazję, uważnie patrzeć pod nogi, nachodzić się, pokluczyć. To po prostu nie jest taka oczywista sprawa.

Obrazek pierwszy, z Prizren: Marko i biznes odzieżowy.

Kiedy Marko idzie ulicą, ze wszystkimi się wita. Zna sprzedawcę burków, kiełbasy i pomidorów, pucybuta, klientów baru i jubilera. Wymienia uścisk z taksówkarzem, kiwa głową przechodzącym kobietom, macha ręką facetowi w bankowym okienku. Pozdrowia gościa ze stacji benzynowej, kumpli pod blokiem, a nawet pracownika muzeum. Marko zna Prizren od podszewki i jak własną kieszeń. Jak dziewięćdziesiąt procent mieszkańców ma własny interes, odzieżowy butik. Nie sprzedaje w nim: różowych sukien z tiulu, czerwonych bez pleców, srebrzystych z ogonami, obcisłych w panterkę, mini na ramiączkach, wiązanych na karku ani rozkloszowanych z żorżety. Za takie sztuki płaci się minimum sto pięćdziesiąt euro – w sklepiku Marko ceny nie przekraczają dwudziestu. Taka jego specyfika, bo choć – patrząc po witrynach i manekinach sklepowych – wydaje się, że ludzie w Kosowie chadzają tylko na wesela, przecież jednak od czasu do czasu zakładają coś bardziej zgrzebnego. Nisza Marko okazuje się całkiem spora, czego znakiem jest mercedes klasy C stojący pod jego domem.

Marko ma dwadzieścia osiem lat, więc w szkole zdążył nauczyć się serbskiego.

Obrazek drugi, okazja złapana na drodze: błękitne yugo i jego właściciel.

Sprzęgło – i bieg pierwszy wrzucony. Święty obrazek przy lusterku wstecznym drga. Sprzęgło, dwójka, trójka, dochodzimy do czwórki i to jest maksimum. Wskazówka prędkościomierza osiąga pozycję



„na godzinie dwunastej”. Radio niestety działa. Turkot rozgrzanego silnika i poszum wiatru studzącego rozpalone wewnątrz mieszają się z gorącym rytmem turkodisco. Na zewnątrz upał, a w środku siedzenia z rozżarzonej skóry w kolorze płomienistego burgunda. Za kierownicą siedzi osoba z ognistym temperamentem i żyłką do interesów dnia. Święty obrazek, podrzucany na dziurawej drodze, zaczyna wściekle tańczyć. Taką przejażdżkę się wycenia. A za yugo nie da się przepłacić. Choćby chłodnica była dziurawa jak ser, silnik rozbebeszony, a karoseria zżarta przez rdzę, liczy się, że yugo zawsze jest na chodzie.

Yugo ma dwadzieścia lat i jest samochodem na zakręcie.

Obrazek trzeci, z Nowego Pazaru: Marina i jej koleżanka.

Biodro pierwszej odchyła się lekko w lewo, potem następuje odbicie, powrót do pozycji środkowej i wdzięczny wygibas w prawo. Miednica drugiej zmysłowo dotrzymuje rytmu. Materiał dżinsów idealnie przylega do ciała. Ile w tym lycry! Ile procent seksapilu! Kołysaniu bioder towarzyszy stukot pantofelków po miejscowym bruku. Odpowiednio wysoki obcas zapewnia szczyptę chwiejności oraz oprawę dźwiękową kroków. Miętko, z palca dziewczyny stąpają wśród kałuż, megakobieco lawirują między dziurami w chodniku, intuicyjnie manewrują po tutejszym wybiegu. Zmierzają do „Akor-du”, który jest klubem jedynym w swoim rodzaju. Powiedzieć, że panuje tam ścisk, to za mało. Że ogłusza huk – te słowa nie oddadzą prawdy. Że ukrop niesamowity – to ledwie dotknąć sedna. Ale co tam. Można się pokazać.

Marina ma lat dwadzieścia sześć i jest panną na wydaniu.

Kieszonkowy zegarek z Clintonem

Ostatniego lata działo się dużo. W konkursie bez precedensu na Bałkanach, dwa miliony mieszkańców Kosowa wybierało na przykład nową flagę i godło. Martti Ahtisaari zażądał, by symbolika przyszłego państwa odzwierciedlała różnorodność mieszkających tu narodowości. Konkurs na flagę był ukłonem w stronę kosowskich Ser-



bów, którym nie w smak było identyfikować się z używaną do tej pory w Prisztinie flagą Albanii. Specjalna komisja ogłosiła, że nowe symbole Kosowa „nie mogą przypominać symboli jakiegokolwiek innego państwa” ani stanowić kombinacji czerni i czerwieni (barwy Albanii) lub kolorów: czerwonego, niebieskiego i białego (tak wygląda flaga Serbii). Flaga i godło muszą być „proste i oryginalne”, pozbawione słów i haseł.

Spór o symbole nie jest w byłej Jugosławii niczym nowym. Serbowie sprzeciwiali się wcześniej szachownicy w godle Chorwacji (kojarzyła się im z faszystowskim państwem Pavelicia) oraz muzułmańskim lilijkom na pagonach żołnierzy armii Bośni i Hercegowiny.

Mimo surowych reguł konkursu i nadziei, jaką ONZ pokłada w integrujących właściwościach nowej flagi, nie jest wcale pewne, czy władze zdecydują się pozbawić kosowskich Serbów prawa do wywieszania serbskich sztandarów narodowych obok symboli Kosowa. Mogłoby to wywołać konflikt, a tego w Prisztinie na pewno nie chcą. Kiedy decyduje się los prowincji, wszystkim po obu stronach barykady zależy na dobrym *publicity*. Serbskie i albańskie flagi pozostaną najbliższe sercom miejscowych. „Nie wywiesiłbym nowej flagi Kosowa na swoim weselu, nawet gdybym sam ją zaprojektował”, powiedział niedawno w wywiadzie prasowym jeden z grafików z Mitrowicy.

Całe Kosowo łąpoce na wietrze, każda flaga i napis są demonstracją, hasłem, wezwaniem. Na przykład: „*jo negociata – vetëvendosje*”, „żadnych negocjacji – tylko wytrwanie”, *credo* ruchu niepodległościowego powielone setki razy według tego samego szablonu na murach największych miast. Albo plakaty z kodem kreskowym i apelem: „*bojkotoni produktet e Serbisë*”. Aby nie było wątpliwości, po czym poznać, że produkt jest serbski, pomysłowy grafik zaznaczył nawet winne temu cyfry kodu: osiem, sześć i zero.

Mieszkańcy Prisztiny pamiętają, komu trzeba dziękować za zdobytą siedem lat temu wolność od Serbii. Na ścianie jednego z najwyższych wieżowców zawiesili ogromny plakat z wizerunkiem Billa Clintona. Jego imię nosi ulica w centrum miasta oraz kilkanaście niewielkich przedsiębiorstw w całym kraju, z których większość nie ma nic wspólnego z Ameryką. Marka „Clinton” jest w cenie, zwraca



uwagę. Właściciele firm, którym, nic pewnie o tym nie wiedząc, patronuje były prezydent, bezbłędnie wyczuwają marketingowe trendy. Być kosowskim patriotą (tylko taki może przecież nazwać firmę jego imieniem) znaczy dla albańskiej większości: być człowiekiem uczciwym, którego usługi należy kupować.

Bywa, że w Kosowie Bill Clinton spotyka się z Matką Teresą (która, choć urodzona w Macedonii, była z pochodzenia Albanką). Sądziadują ze sobą na bazarach – na breloczkach do kluczy, zegarkach, kalendarzach i obrazach oprawionych w złote ramy. Na targu w mieście Peć jest nawet do kupienia prezydent na zegarze ściennym w kształcie koła sterowego ze starego żaglowca.

W Prizren można spacerować ulicą Tony’ego Blaira, gdzie indziej pić kawę na skwerze generała Wesley’a Clarka (dowódcy NATO w Europie w 1999 roku). Plakaty „*Thank You USA*” z gwiazdzistym sztandarem, podpisane przez „Stowarzyszenie Przyjaciół Stanów Zjednoczonych i Prezydenta Billa Clintona”, co kilka dni

Całe Kosowo jest *born in the USA*. Tak jak w piosence Bruce’a Springsteena.

na nowo przykleja się do ogrodzeń i murów. Identyfikacja z Ameryką jest w Kosowie tak silna, że gdy w kwietniu na uniwersytecie w Wirginii szalenięc zastrzelili kilkadziesiąt osób, władze uniwersytetu w Prisztinie natych-

miast wykupiły kilkanaście plasz reklamowych, na których zadeklarowano solidarność i współczucie z ofiarami masakry. „Myślimy o was, o waszym bólu, zdezorientowaniu tym bezsensownym aktem przemocy i nadziejach na lepszą przyszłość”, napisano. Plakaty umieszczono między innymi pod hotelem „Victory” z gipsową Statuą Wolności na dachu.

Całe Kosowo jest *born in the USA*. Tak jak w piosence Bruce’a Springsteena.

Kraj obłączonych klasztorów

To miejsce jest idealne na wieczny odpoczynek. Naokoło góry, zieleń aż w oczy kłuje, pachnie bez. Turystów jak na lekarstwo, autobus jeden na ruski rok, bracia hodują pszczoły. Zabronione, co



następuje: wprowadzanie psów, palenie papierosów i wchodzenie w strojach zbyt skąpych. W zasadzie sielanka – jak przystoi założycielowi dynastii.

Stefan Nemanja spoczywa w monasterze w Studenicy od 1196 roku. Jego prapraprawnuk nie żyje od 1331 roku. Miał mniej szczęścia – Stefanowi Deczańskiemu przyszło leżeć w Kosowie. Co prawda pod jednym dachem z kością żuchwową św. Grzegorza z Nyssy i ręką św. Nikity, ale marna to pociecha w obliczu niepewnych czasów, jakie nadeszły.

Kierowca terenowej toyoty zna francuski. Nauczył się na budowie w Szwajcarii, a jest pochodzącym stąd Albańczykiem. Mówi wprost: „Nigdy, przenigdy nie wspominajcie w Kosowie, że jedziecie oglądać monastyr”. Przez przednią szybę samochodu widać już betonowe zasieki w czerwono-białe pasy, kolczatki i szlaban. Po prawej stoi zamaskowana budka strażnicza i ciężarówka z napisem „KFOR”. Trzy tygodnie temu w Wysokich Deczanach wybuchł granat. Rozlega się wesołe *buon giorno*, swoją bazę mają tu Włosi. Przeglądają paszporty i pierwsza kontrola *finito*. Na drugim posterunku służbę pełni Alberto. Jest Sycylijczykiem i po jego sylwetce widać, że najlepiej czuje się w kuchni. Jest tu dość długo, a może naprawdę się wczuwa – w każdym razie, zapamiętał kilka dat i faktów z historii monastynu. Wysokie Deczany od 2004 roku są na liście zabytków UNESCO, przede wszystkim z uwagi na bezcennej wartości freski pokrywające wewnętrzne ściany monastynu.

W XIV wieku klasztor zdobiono malowidłami długo i pieczołowicie.

Kiedy malarz przygotował już wapno z pakułami, otynkował ścianę, sporządził na niej szkic, a potem zrobił podmalówki, otworzył swój podlinnik na rozdziale: „O rysowaniu brwi i wszelkich innych części ciała” i zabrał się za głowę króla Stefana. Nakreślił czoło, nos i brodę, namalował jedno oko, a potem zaczął drugie, uważając, by oba były dokładnie takiej samej wielkości. Przypilnował, aby szyja i ucho miały długość nosa, a potem odmierzył od podbródka do talii trzy miary i dodał jeszcze dwie, żeby zaznaczyć kolana. Sprawdził, czy król w talii jest szeroki na półtorej miary, i przeszedł do rozdziału: „Jak nakładać pozłotę na ściany, na aureole i w ogóle, gdzie chcesz”. Stefan Deczański wyszedł jak żywy.



Siedem wieków później serbskie klasztory w Kosowie burzyło się szybko i stosunkowo łatwo.

Odbywało się to w ośmiu fazach. Najpierw następował ostrzał z karabinów. Potem rabunek przedmiotów ruchomych: ikon, ksiąg, relikwii, sprzętów liturgicznych. Kolejny etap stanowiło bezczeszczenie wyposażenia świątyń: obrazów, ołtarzy, ikonostasów. Kiedy tego było mało, zaczęto podkładać ogień i palić zabudowę klasztorną, aż wreszcie nastąpiły pierwsze eksplozje. W fazie szóstej wysadzano to, co ocalało po piątej, w siódmej – usuwano resztki: kawałki kamienia, detale architektoniczne, fragmenty fresków. W ósmej – równano teren z ziemią i zacierano wszelkie ślady istnienia świątyni.

Wysadzano, równano, zacierano... Te końcówki są znaczące. Gdzieś tam sprawcy zostawili swój znak: inicjały UÇK, Armii Wyzwolenia Kosowa. Ale kto to był dokładnie? Według chłopaków z Prizren, w ich mieście niszczyli obcy. Oni nie kojarzyli żadnego z tych ludzi. To obcy nawoływali do rozruchów, palili serbską część miasta i cerkiewkę Zbawiciela. Chłopakom można wierzyć, bo w Prizren naprawdę każdy każdego zna.

W Wysokich Deczanach dzień i noc czuwają żołnierze KFOR-u. Na drodze do monasteru, przed wrotami i na tyłach, z pewnością jakiś patrol jeździ po górach i wiosce. Czy klasztory, odizolowane od ludzi, dla których je stworzono, są jeszcze czymś więcej niż tylko narazonymi na zniszczenie kamieniami? Król Stefan Deczański musi przewracać się w grobie.

Niespokojne kresy

Kosowo to pytanie o współczesną tożsamość serbską. Serbowie w dawnej Jugosławii mieli wielkie wpływy – nieprzypadkowo przeciwko jej rozpadowi najdłużej oponował Belgrad. Potem Milošević zaproponował ideę „Wielkiej Serbii”, czyli zjednoczenia wszystkich ziem zamieszkałych przez Serbów – także w Bośni i Chorwacji – w jedno państwo. Kiedy i ta upadła, w 1999 roku przyszedł upokarzający bombardowania NATO oraz odebranie kontroli nad Kosowem. W zeszłym roku od Serbii odłączyła się Czarnogóra. Prawdziwy problem



Serbów wynika z powszechnego tutaj przekonania, że na tym się nie skończy: że po odebraniu Kosowa ich kraj będzie dalej „krojony”.

Takie obawy można zrozumieć w Nowym Pazarze, stolicy Sandżaku, górskiego regionu przy granicy z Bośnią, w którym żyją głównie muzułmanie. Dobywające się z kilkunastu meczetów głosy muezinów nie pozostawiają wątpliwości, że bliżej jest stąd do Sarajewa, Prisztiny czy nawet Stambułu niż do Belgradu. W czasie wojny w Bośni w Sandżaku prowadzono rekrutację do oddziałów walczących przeciw bośniackim Serbom; żołnierzy stąd zapamiętano jako fanatycznych obrońców islamu, wyróżniających się oddaniem, ale i brutalnością. Władze w Belgradzie obawiają się, że rejon może się wkrótce stać kolejnym spornym terytorium w granicach Serbii.

Na drugim krańcu państwa, w dorzeczu Dunaju, leży wieloetniczna Wojwodina, w której duże wpływy mieli zawsze Węgrzy. Region, który przed I wojną światową wchodził w skład monarchii habsburskiej, zaś w Jugosławii Tity cieszył się wraz z Kosowem autonomią, lubi podkreślać swoją odmienność od reszty kraju. To właśnie w stolicy Wojwodiny, Nowym Sadzie, grupa studentów zorganizowała w 2000 roku niezależny od władz festiwal rockowy Exit, który szybko przerodził się w rewoltę młodych przeciw Miloševićowi, a dziś jest największym plenerową imprezą muzyczną w tej części Europy.

Choć obiektywnie wydaje się ona mało prawdopodobna, w wizję Serbii pozbawionej Kosowa, Sandżaku i Wojwodiny wierzy wciąż wielu mieszkańców kraju. Tak okrojone państwo skurczyłoby się do rozmiarów Estonii, a punkty graniczne znajdowałyby się zaledwie dziesięć kilometrów za Belgradem. To koszmar, który zdaniem polityków w stolicy będzie bliski spełnienia, jeżeli zgodzą się na niepodległe Kosowo.

*

Nazwa Šumadija może rzeczywiście pochodzić od szumu drzew – w końcu *šuma* nie tylko brzmi jak szelest lasu, ale i po serbsku go oznacza. Wśród buków i jodeł porastających okolice średniowiecznego klasztoru Manasija, w samym środku Serbii, sto kilometrów



od Belgradu, rozmawiamy na koniec z dwudziestopięcioletnią Violetą, która, choć podróżowała po Iranie i w przyszłym roku na pewno odwiedzi Kraków, do Kosowa nie ma wcale zamiaru pojechać.

Kiedy jest w złym humorze, idzie na dworzec kolejowy w Belgradzie. Nie ma lepszego sposobu na odreagowanie, niż pokłócić się z kulawymi weteranami wojny w Bośni, tymi, co sprzedają portrety generała Mladicia i wciąż marzą o Wielkiej Serbii. Violetę zdrowo to wkurza.

Wcześniej, w Prisztinie, Arlind długo i z uwagą studiował nasze materiały o niszczeniu serbskich klasztorów w Kosowie, nawet te po polsku. Kiedy dorastał w Prizren, musiał przecież bywać w meczecie Sinana Paszy z najwyższym na całych Bałkanach minaretem. Pewnie czytał wyryty w środku na ścianie tekst przyrzeczenia poszanowania praw chrześcijan, które sułtan Mehmet II Zdobywca złożył 28 maja 1463 roku, zaraz po podboju Bałkanów. „Nikt nie będzie im przeszkadzał i zakłócał spokoju ani spokoju ich świątyń” – obiecał sułtan. „W moim Imperium będą trwać w pokoju. Wypędzonym pozwoli się wrócić i zakładać na nowo swoje klasztory we wszystkich krajach mojego Imperium”.

Z naszych kserówek Arlind poznał finał tej historii.

On i Violeta – dwoje młodych, wykształconych i „głodnych świata” ludzi, których nie brakuje w krajach byłej Jugosławii – mogliby sobie wiele powiedzieć, gdyby znaleźli się w tym samym miejscu, w tym samym czasie. A tak przypominają trochę aktorów, którzy nie chcą spotkać się na planie i ich wspólną scenę trzeba kręcić z każdym z osobna.

Po to, by powstało chociaż wrażenie bycia razem.

KATARZYNA WYDRA, ur. 1980, redaktor w krakowskim Wydawnictwie Otwartym.

MARCIN ŻYŁA, ur. 1979, członek redakcji miesięcznika „Znak”.